



LIRA
WYDAWNICTWO

WERONIKA WIERZCHOWSKA

*Piękna intrygantka,
zmuszona do
opuszczenia ojczyzny,
trafia na dwór polskiej
królowej...*

Francuska dwórką

*F*rancuska
dwórka

WERONIKA WIERZCHOWSKA

*F*rancuska
dwórka

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023
ISBN: 978-83-67654-36-4

ROZDZIAŁ 1

PARYŻ, MAJ 1653 R.

Największa przygoda mojego życia zaczęła się od niewinnego pocałunku. Właściwie wcale nie takiego niewinnego i nie wywołał on we mnie zachwyty czy choćby uniesienia. Lubiłam się całować, ale nie kiedy od kawalera zalatywało kwaśnym winem, a język wpychał mi niemal do gardła. Odepchnęłam go, by nieco ochłonał, takie zaloty wcale mi się nie podobały. Uczepił się mnie jednak, objął w tali i przyciągnął do siebie, złapał za pierś i ścisnął nieprzyjemnie mocno. Trzeba przyznać, że przynajmniej nie należał do byle chłystków, najmłodszy syn hrabiego vel Quarre'a uchodził za interesującą partię i brylował na francuskim dworze jako niezwykle obiecujący kawaler. Choćby dlatego, że niespodziewanie stał się najbardziej zaufanym sekretarzem kardynała Mazarina. Ambitny i rzutki młodzieniec dopchał się już do samego szczytu władzy, choć ledwie zaczynał karierę. Kto wie, jakie zaszczyty i bogactwa były mu pisane? Mimo że służył głowie francuskiego Kościoła katolickiego, wcale nie musiał zostać duchownym, kardynał za to mógł awansować go choćby na szambelana. Naprawdę miło by było zostać żoną dostojnika piastującego najwyższy urząd dworski, mającego bezpośredni wpływ na króla. Taka żona mogłaby owinąć sobie mężusia

wokół paluszka i za jego pomocą pociągać za sznurki w całym królestwie.

Tyle że nie byłam tu w celach matrymonialnych, nie szukałam męża, tylko tego, co nieopatrznie dostało się w ręce tego chłopca. Poznałam go na balu u księżnej de Choisy, zresztą księżna sama mi młodego hrabiego przedstawiła i pomogła upić. To na jej polecenie zajmowałam się tym kawalerem. Pozwoliłam mu tańczyć ze sobą przez pół nocy i dolewałam wina do kielicha, kusiłam wdziękami, trzepotałam rzęsami i nadstawiałam do wglądu i tak już ściśniętą gorsetem pierś. Potem sama zaciągnęłam kawalera do karety i kazałam wieźć do jego kwatery, na Île de la Cité, tej samej, na której wznosiła się katedra Notre Dame. Tu, wśród zabudowań klasztornych, znajdowały się też pałace biskupie, zamieszkałe przez kościelnych dostojników oraz obsadzone przez słynną gwardię kardynalską — muszkietarów w czarnych uniformach z białym krzyżem. Młodzieniec rezydował w jednym z eleganckich pałaców, blisko siedziby samego kardynała. Weszłam w to gniazdo żmij, prowadzona pod ramię przez chwiejącego się młodzieńca. Szedł za nami też mój służący, tak naprawdę porucznik królewskich muszkietarów, Jean Duvoni, tyle że przebrany w liberię lokaja, w którą ledwie się mieścił. Przydzielony mi przez księżną do osobistej ochrony oficer okazał się roslim bykiem, niestety już wtedy zaczynałam podejrzewać, że jest ponadto idiotą.

Gwardziści odprowadzili nas ponurymi spojrzeniami, ale nie zatrzymywali i nie zadawali pytań. Co się dziwić, żyjącym tu jaśnie panom, zarówno tym w sutannach, jak

i w błyszczących pancerzach, nie raz i nie dwa sprowadzano ładacznice i damy wszelkiego autoramentu oraz proveniencji. Gwardia przywykła, by nałożnice traktować jak powietrze, niczego nie widzieć i nie słyszeć. I dzięki temu szybko znalazłam się w komnacie Oliviera vel Quarre'a, obsypywana przez niego pocałunkami i stanowczo ciągnięta do łóżka. Miałam nadzieję, że spił się już tak bardzo, że padnie, zanim zabierze się na całego do amorów, ale chłopak miał mocną głowę i zanosilo się na to, że nie tylko język wepchnie mi do gardła.

No cóż, byłam przygotowana i na to. Dla mojej księżnej de Choisy pozostawałam gotowa na wszelkie poświęcenia. I tak mi się poszczęściło, że nie musiałam iść do łóżka z grubym biskupem lub innym obrzydliwcem. Trafił mi się kawaler młody i gładki, rozłożenie przed nim nóg nie będzie wielkim wyrzeczeniem. Mógłby tylko darować sobie te głębokie, namiętne pocałunki, bo okazały się jednak nazbyt brutalne. Wzdychałam z udawanej rozkoszy, kiedy rozsznurowywał mi suknię na plecach, wpiłam palce w jego włosy, całowałam go w szyję. Pamiętałam jednak, by bacznie się rozglądać, i już po chwili dostrzegłam leżący na biurku zawalonym papierami pakunczek związanych wstążką listów. To po nie tu przybyłam.

Robota zanosila się na nadspodziewanie łatwą. Wy-męczę młodzieńca w łóżku, a kiedy po miłosnych zmaganiach sobie zaśnie, zabiorę listy i jeszcze przetrząsnę mu sekretarzyk. A nuż znajdzie się coś kompromitującego na samego kardynała Mazarina? Ten ponury starszy jegomość godny następcy kardynała Richelieu,

z pewnością ma masę świństw i niecnych sprawek na sumieniu, o których z radością dowie się moja księżna pani. Jęczałam zatem i dyszałam, kiedy młodzian wreszcie wyłuskał mnie z sukni i zaczął szarpać gorset. Sama zajęłam się rozwiązaniem jego portek, po chwili ściągnęłam mu je do kolan, a wówczas jego członek, w pełni gotowy do dzieła, wyskoczył sprężysto i z entuzjazmem na zewnątrz. Złapałam go i pociągnęłam do siebie, mrużąc już w sposób całkowicie nieudawany. Męskość chłopak miał gorącą i młodzieńczo twardą, zapowiadało się zatem, że zapewni mi kilka przyjemnych chwil, kto wie, może wywoła dreszcze prawdziwej rozkoszy? Olivier był napalony jak ogier, ciągle pchał się do moich ust z językiem, co właściwie jakoś bym zniosła, ale tak szarpnął za sznurki w moim gorsecie, że zamiast je poluzować, ścisnął nadspodziewanie mocno. Z moich ust wyrwał się bolesny wrzask, nieco stłumiony, bo powietrze wypchnęło mi z płuc, ale wystarczająco rozpaczliwy, by słyszać go było za drzwiami.

Te bezszelestnie się otworzyły i za plecami mego kochanka wyrósł wielki jak góra lokaj. Otworzyłam szeroko oczy ze zgrozy i machnąłam ręką, jakbym chciała go odgonić niczym niesforną muchę. Nie zdołałam nawet zaczerpnąć powietrza, by coś powiedzieć, zresztą Jean Duvoni chyba i tak nie zwróciłby na to uwagi. Jego jasne oczy płonęły świętym oburzeniem i determinacją. Uniósł rękę, w której ścisnął sztylet, i grzmotnął jego rękojeścią w potylicę zupełnie nieświadomego zagrożenia Oliviera. Kawaler poleciał w bok jak trafiony wystrzałem armatnim, spadł z łóżka i z łomotem gruchnął na podłogę.

Myślałam, że śnię, to się nie mieściło w głowie. Mój muszkieter spokojnie schował broń i wyciągnął do mnie rękę, lekko się kłaniając.

— Nic złego się panience nie stało? — spytał stłumionym głosem. Już wcześniej zauważyłam, że najczęściej buczy, jakby mówił przez nos. — Porwał się nie tylko na cześć panienki, ale i próbował zrobić krzywdę. Musiałem się wtrącić!

— Prosiłam o to, poruczniku? Nie przypominam sobie — wycedziłam.

Jego gęba nieco mi się rozmywała, tak samo jak wszystko, co znajdowało się za nim. Niestety ten mój drobny feler, słaby wzrok, czasem dawał mi się we znaki i niesłychanie mnie irytował. Nie widziałam dobrze Jeana i nie byłam pewna, czy ze mnie nie żartuje. Może jednak nie był idiotą, tylko narwańcem? Z mężczyznami nie zawsze było prosto, potrafili zaskakiwać.

Wychyliłam się z łóżka, by sprawdzić, co tam z moim amantem. Ze zgrozą ujrzałam, że Olivier leży nieruchomo z twarzą do ziemi w powiększającej się kałuży krwi. Wystrzeliłam z łóżka i klęknęłam przy nim, po czym przewróciłam go na bok. Z tak bliska widziałam wszystko wyraźnie, aż zbyt wyraźnie. Kawaler oczy miał szeroko otwarte, nieruchome i szkliste. Był bez wątpienia martwy.

— Coś pan zrobił, na litość boską? — wypaliłam do porucznika. — Po coś się wtrącał? I dlaczego uderzyłeś go tak mocno?

Wzruszył ramionami, po czym bezradnie podrapał się po głowie. Wówczas do mnie dotarło, że jednak jest idiotą.

Przeżegnałam się bezwiednie, po czym poderwałam na równe nogi i szybko wciągnęłam kieckę. Groza sytuacji dopiero do mnie docierała. Byłam zamieszana w morderstwo sekretarza kardynała! Czekало mnie ścięcie mieczem, o ile zostaną potraktowana jak szlachetnie urodzona, a nie zwykła morderczyni.

Zaraz, tylko spokojnie, jeszcze kat mi nie świeci. Kto mnie widział z Olivierem? W pałacu księżnej przynajmniej setka gości, nie licząc służby. Woźnica z powozu kardynała, dowódca warty na moście prowadzącym na Île de la Cité i kilku jego gwardzistów. Ile z tych osób zna mnie z nazwiska? Och, tym będę martwiła się później, teraz trzeba stąd zniknąć. Doskoczyłam do biurka i zgarnęłam listy. Wyciągnęłam jeden, rozłożyłam go, po czym podsunęłam pod nos. Zmrużyłam oczy, jak zwykle, kiedy walczyłam z wadą wzroku. Musiałam sprawdzić, czy to te listy, po które przyszłam. Tak! Ten został opatrzony zamaszystym podpisem Anny Marii Ludwiki d'Orléans, znanej jako La Grande Mademoiselle, Wielka Panna. To tylko taki honorowy tytuł, faktycznie wcale nie była taka wielka. Wielka natomiast była duchem i odwagą, tego nie dało się jej odebrać. Nie bała się po-przec buntu arystokratów, tak zwanej Frondy Księżęcej, która doprowadziła do tego, że zarówno młodziutki Ludwik XIV, przyszły Król Słońce, jak i faktycznie trzymający władzę w państwie kardynał Mazarin musieli wiać z Paryża, a potem toczyć zażarty bój z buntownikami. Jaśnie panowie zbuntowali się przeciw zakusom kardynała, by zamienić królewską władzę w całkowitą tyraniją. La Grande Mademoiselle stanęła przeciw

zapędom autorytarnym i dowodziła oblężeniem Orleanu, a potem obroną Bastylji, osobiście kazała strzelać z armat do królewskiego wojska i otworzyć bramy przed cofającymi się spiskowcami. Skutkiem tego po klęsce buntu straciła polityczną pozycję, popadła w niełaskę i musiała zabierać się z miasta. Niestety na celowniku kardynała natychmiast znaleźli się wszyscy, którzy ją wspierali lub się z nią przyjaźnili. Tak się składało, że pewna niewygodna dla kilku osób część jej korespondencji wpadła w łapy Oliviera, o czym dowiedziałyśmy się właściwie w ostatniej chwili przed przekazaniem listów kardynałowi.

Teraz ja miałam te papiery i najlepiej byłoby je po prostu na miejscu spalić, ale księżna pani z pewnością pragnęła do nich zajrzeć. Wetknęłam je zatem w kieszeń sukni i skinęłam na ciągle drapiącego się po głowie muszkietera. Wyszliśmy razem z pałacyku i pomaszzerowaliśmy piechotą w kierunku jednego z mostów na Sekwanie. Musieliśmy wydostać się z tej wyspy, potem po prostu rozwiejemy się jak dym, wsiąknjemy w uliczki Paryża i kardynał będzie mógł mnie cmoknąć. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do posterunku obsadzonego gwardzistami, trzęsły mi się nie tylko ręce, ale i kolana. Szczególnie że niespodziewanie z mgły i nocnego mroku wyłoniło się kilku jeźdźców z krzyżami na czarnych pelerynach i w kapeluszach o szerokich rondach. Porucznik Duvoni aż zeszytywniał na ich widok i sięgnął ręką do biodra po szpadę, której tam jednak nie miał. Zapomniał na chwilę, że jest w stroju lokaja. Szturchnęłam go łokciem, by milczał i niczego tym razem nie spaprał.

— Ładny dziś mamy wieczór, *mademoiselle* — zagaił jegomość jadący przodem, przy okazji blokując nam drogę.

Miałam zarzucony na głowę kaptur salopy, ale chcąc nie chcąc, musiałam spojrzeć na rozmówcę i się mu pokazać. Zmrużyłam oczy, bo nie widziałam dobrze twarzy oficera. Odparłam jednak wesoło, że owszem, szkoda, iż trzeba wracać do domu. Czułam, jak na gardle zaciska mi się ręka z czystej, lodowatej grozy. W pierwszej chwili nie rozpoznałam jegomościa, ale na jego szyi błysnął złotem krzyż na łańcuchu i domyśliłam się, z kim mam przyjemność. Wiedziałam, że tak lubił się wystroić kapitan kardynalskiej gwardii, de Nollet. Wszyscy znali tego typa, a on znał wszystkich. Chyba mnie jednak nie poznał, tyle dobrego, że nie byłam żadną wielką damą, którą warto zapamiętać. Zapytał, skąd wracam, odparłam, że z gościny u jednego kawalera, ale nie mogę podać nazwiska, bo nie wiem, czy sobie tego życzy. Wdzięczyłam się przy tym i błyskałam zębami w uśmiechu. Nadal nie widziałam, jak zmienia się wyraz jego twarzy, wszystko przez kiepskie światło. Nie miałam przez to pojęcia, czy moje umizgi przynoszą spodziewany rezultat.

De Nollet uznał mnie jednak za ekskluzywną prostytutkę biskupią, widocznie moja balowa suknia i towarzystwo rosnącego lokaja zasugerowały mu, że nie jestem byle ladacznicą. Skoro tak, lepiej dla niego, by mnie nie zaczepiał i nie dręczył, mógł bowiem rozżłościć mojego adoratora. Ukłonił mi się zatem, dotykając rónka kapelusza, i zjechał z drogi. Łzy pojawiły mi się w oczach

z niesłychanej ulgi, przede mną otwierała się droga na most. Za nim czekał, by dać mi schronienie, swojski, znajomy Paryż.

— No, tośmy się sprytnie uwinęli — oświadczył porucznik Duvoni, kiedy przeszliśmy na drugą stronę. — Myślę, że...

— Myślisz, poruczniku? — prychnęłam. — Szkoda, że tak rzadko.

— Panno Morin, proszę mieć na uwadze, że uratowałem dziś pannie życie. Domagam się należytego szacunku i uznania...

Uratował mi życie, dobre sobie! Przez tego głupka będzie tropiła mnie gwardia kardynalska, a sam Mazarin każe ze mnie drzeć pasy. Moje życie od tej pory było funta kłaków warte, nikt przy zdrowych zmysłach nie przyzna się do znajomości z morderczynią tropioną przez gwardię. Byłam towarzysko spalona, co nie miało większego znaczenia, bo i tak nie pożyję dłużej niż kilka dni.

Żal tak ścisnął mi gardło, że nie miałam sił, by oznajmić temu cymbałowi, do czego doprowadził. Zresztą i tak diabli wiedzą, ile z tego by zrozumiał. Uznałam, że lepiej popłaczę sobie i poużalam się nad sobą, zamiast na niego wrzeszczeć.

* * *

Jeanne Olimpię de Choisy nadal uznawano za piękność, choć była już damą po pięćdziesiątce, ale we współczesnym świecie metryka nie miała większego znaczenia. Masa pudru kryła niedostatki cery, a mieniące się

barwami zawoje jedwabiu i złoto biżuterii, ewentualne niedostatki figury. Zawsze zresztą wydawała mi się niezwykle urodziwa, wręcz doskonała. Pozostawałam nią oczarowana, odkąd ją ujrzałam po raz pierwszy, a trafiłam do jej pałacu dziesięć lat wcześniej, jako ledwie podłotek, któremu nawet jeszcze cycki nie urosły i który nic nie wiedział o świecie. Moja rodzina pozbyła się mnie, oddając na wychowanie dalekiej krewnej, bo z księżną łączyły mnie koligacje dziewiątego stopnia, dzięki czemu papa nie musiał się martwić, skąd wytrzasnąć dla mnie posag. Liczył, że moją przyszłością zajmie się Jeanne, znajdzie mi jakiegoś kawalera lub w ostateczności odstawi do klasztoru. Pozbył się ciężaru i mógł kontynuować przepijanie rodowego majątku.

Chowałam się zatem w domu dalekiej pociotki jako jej wychowanica, których zresztą miała jeszcze dwie. Jeanne była kobietą nowoczesną, o otwartym umyśle, silną i mądrą. Jej mąż, stary książę de Choisy, uczynił ją wdową przed kilkoma laty. Kiedy za niego wyszła, był już starcem, nie mieli zatem dzieci. Jeanne nie zajmowała się w związku z tym wychowaniem potomstwa, ale korzystając z odziedziczonego majątku, realizowała swoje pasje i ambicje. Ciekawiła ją polityka i życie dworskie, intrygi i spory o władzę. Największą jej pasją pozostawało jednak pisanie, zresztą miłość do literatury, książek i papierów próbowała zaszcześcić także nam. Nie miałyśmy wyjścia i chcąc nie chcąc, siedziałyśmy razem z nią w wielkiej książęcej bibliotece. Czytałyśmy, czasem jedna na głos, czasem każda sobie w skupieniu i ciszy, wszystko, co się dało, poza tym nie tylko po francusku,

ale także w łacinie, po niemiecku, włosku, a nawet po grecku. Tylko nie po angielsku, Brytyjczykami księżna pani pogardzała.

Jeanne nie ograniczała się jedynie do czytania, sporą część dnia spędzała na pisaniu. Prowadziła bardzo bogatą korespondencję z wieloma osobistościami w różnych częściach Europy. Ze swoimi przyjaciółkami, ale też z duchownymi, literatami, naukowcami i żołnierzami. Do tego wszystkiego pisała relacje o tym, czego się od tych ludzi dowiedziała, i publikowała je, rzecz jasna, własnym sumptem. Jej broszurki cieszyły się sporym powodzeniem, ostatnio zostały nawet uznane za konkurencję dla „La Gazette”, popularnego tygodnika założonego przez doktora Renaudota. Byłam zatem jedną z przybocznych damy niezwykle rzutkiej i znanej w towarzystwie, z której słowem się liczone i którą szanowano. I to nie tylko z racji urodzenia i bogactwa, ale też z powodu jej przymiotów umysłowych, wiedzy i bystrości.

Kiedy wręczałam jej paczkę z listami, czułam palące mnie w plecy spojrzenia Jovite i Kai. Moje dwie przybrane siostry szczerze zazdrościły mi powodzenia. Odkąd spotkałyśmy się w domu księżnej, zawzięcie ze sobą konkurowałyśmy. Każda starała się zostać ulubienicą naszej dobrodziejki i walczyła z pozostałymi o jej względy. Niestety nigdy nie zadzierzgnęły się między nami nici przyjaźni, właściwie toczyłyśmy ze sobą zażarte boje i czyniłyśmy sobie mniejsze lub większe uszczypliwości. Każda chciała stać się faworytą księżnej i kto wie, może w przyszłości zostać przez nią oficjalnie zaadoptowaną, a następnie odziedziczyć jej nazwisko i majątek.

Dziś nienawidziły mnie jeszcze bardziej, bo Jeanne przyjęła dar, nie żałując mi pochwał. Nie wiedziały jeszcze do końca o tym, co zaszło, moja suwerenka jednak się nie uśmiechała, minę miała zmartwioną i marszczyła czoło, jak zawsze, kiedy nad czymś intensywnie rozmyślała. Znaczyło to, że konsekwencje moich czynów już do niej dotarły. Poprosiła o moją relację, a mnie nie pozostało nic innego, jak wszystko jej opowiedzieć, nie żałując szczegółów i niczego nie przemilczając. Czym dłużej mówiłam, tym zazdrość moich konkurentek malała, czułam za to, jak rośnie ich zadowolenie. Wiedziały, że wpakowałam się w śmierdzący rynsztok i łatwo się z tego nie wywinę.

— Czemu zwlekałaś z raportem aż do rana? — spytała księżna.

Po prawdzie to byliśmy już po późnym śniadaniu, kurant wybijał właśnie południe, ale dla jaśnie pani ta pora była ledwie początkiem dnia.

— Nie miałam śmiałości, by budzić waszą łaskawość — odparłam. — Mleko zresztą już się rozlało i tak nie możemy nic zrobić. Nie przywrócimy życia temu nieszczęśnikowi.

— Jemu już nie pomożemy, ale musimy zadbać o ciebie — odparła Jeanne.

Jako że miała na sobie strój domowy oraz takąż kofiuwę, nie nosiła piętrowej peruki ani pudru na twarzy. Włosy z pasmami siwizny i kurze łapki sprawiały, że wyglądała jak miła starsza pani. Kochałam ją niczym własną matkę, której nawet nie pamiętałam, tak dawno mnie osierociła.

— Gdybyś kazała mnie obudzić, już byłabyś w drodze z Paryża. Teraz mamy wiele godzin straty, gwardia kardynała jest z pewnością na twoim tropie. Wiedzą już, gdzie był wieczorem vel Quarre, teraz pewnie przesłuchują niektórych moich gości. Najdalej do wieczora będą znali twoje nazwisko i z pewnością jeszcze przed nocą załomoczą w bramę mego pałacu. Przyjdą po ciebie i zawloką do kardynalskich lochów. Obie wówczas będziemy zgubione, bo wszystko im wyśpiewasz. Nie zaprzeczaj, kościelni oprawcy wiedzą, jak wyciągać z człowieka zeznania, mają naprawdę bardzo długą tradycję w dręczeniu ludzi. Kiedy zaborą się za szarpanie twoich piersi rozpalonymi szczypcami, powiesz wszystko, co wiesz. Każdy by powiedział.

Przelknęłam ślinę. Niby zdawałam sobie sprawę z powagi sytuacji, ale dopiero teraz zaczynałam się trząść. Moja śmierć nie będzie lekka, podniosłam rękę na osobę bliską kardynałowi, z pewnością nie puści tego płazem.

— Trzeba naszą słodką Giselle uciszyć, tak by nigdy nikomu nic nie powiedziała. — Poczułam dotyk dłoni Jovite na ramieniu i ciepło jej szeptu, bo mówiła, pochylając się nad moim uchem.

Wstrzymałam oddech. Księżna zapewniła nam także lekcje szermierki i skrytobójstwa, rzeczy przydatnych również na wersalskim dworze. Czekałam zatem, aż moje plecy przebije zimne ostrze sztyletu. Prawda była bowiem taka, że stałam się niewygodna i niebezpieczna. Dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby gwardziści znaleźli mojego trupa. Dla wszystkich, tylko nie dla mnie.

— Dziewczęta, zostawcie nas same — rzuciła księżna i odprawiła obie moje konkurentki jednym skinieniem.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Jeanne uśmiechnęła się uspokajająco i pogładziła moją dłoń.

— Nie bój się, zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc. Dałam ci wykształcenie, zadbałam, by twój bystry umysł został stosownie oszlifowany niczym drogocenny kamień. Będiesz teraz musiała zrobić z niego stosowny użytek, by przetrwać. Teraz powiedz, czy pamiętasz moją przyjaciółkę, Ludwikę Marię Gonzagę?

Pokiwałam głową. Pamiętałam dość mętnie młodszą od Jeanne księżniczkę, która bywała z wizytami w pałacu. Była między nimi wielka zażyłość, znały się ponoć od dziecka i świetnie czuły w swoim towarzystwie. Obie piekielnie inteligentne, odcytane, zafascynowane nauką. Rzadkie to przymioty wśród dam, tym bardziej się przez to podobieństwo lubiły, dobrały się jak w korcu maku. Jednak księżniczka Ludwika od lat się u nas nie pojawiała, nie była już bowiem księżniczką. Siedem lat temu wyszła za mąż za Władysława IV i wyjechała do Warszawy, gdzie zasiadła na tronie jako królowa Polski.

— W Warszawie wybuchła epidemia ospy, która nie oszczędziła także królewskiego dworu. Zmarł mały synek mojej królewskiej przyjaciółki, a także dwie dwórki z fraucymeru Ludwika — oznajmiła Jeanne, a ja zaczęłam się domyślać, co chce ze mną zrobić. — Dwie kolejne zakończyły swoją misję u jej boku i kilka dni temu wróciły do Francji. Zwolniły się zatem miejsca na polskim dworze...

Nieeee! — cisnął mi się do gardła wrzask protestu. Ledwie go powstrzymałam, nie chciałam zrobić księżnej przykrości. Tylko że, co ona mi szykowała, na litość

boską? Chciała wysłać na zesłanie na koniec świata! Jej przyjaciółka wyszła za polskiego władcę, bo nikt inny nie chciał wyszczekanej, przemądrzałej i starzejącej się księżniczki. Pojechała tam, bo nie miała wyjścia, ale kto o zdrowych zmysłach chciałby tam się za nią udać? Wszyscy wiedzieli, że Polska to dziki kraj, porośnięty prastarymi puszczeniami i najczęściej skutym lodem i zasypany śniegiem. Niedźwiedzie łążą po ulicach miast zbudowanych z drewna, rycerze to wielkie draby o podgolonych łbach i z wąsiskami do pasa. Nic tam nie było, tylko lasy i błoto. Nie bez powodu mawiało się u nas: w Polsce, czyli nigdzie. Nie chciałam tam jechać, za nic w świecie!

Tyle że to chyba lepsze niż rwanie cycków rozpalonymi szczypcami, gwałcenie żelaznym, nabijaniem kolcami penisem, zdzieranie skóry, przypiekanie na wolnym ogniu i tak dalej. Prawda była taka, że jeśli chcę żyć, muszę zniknąć z Francji, wydostać się poza zasięg łap kardynała Mazarina. Przytaknęłam zatem i grzecznie podziękowałam księżnej za to, że chce wykorzystać swoje znajomości i wpływy, by awansować mnie na damę z królewskiego fraucymeru. Bo był to właściwie awans, i to niebywały.

— Wiesz, że publikuję wieści z Polski dzięki mojej korespondencji z Ludwiką. Zadbaj o to, bym wiedziała więcej, bo moja przyjaciółka nie o wszystkim mi wszak opowiada. Ludwika ponoć pisuje do kardynała Mazarina, chodzi o duże kwoty, które Francja ma jej przekazać na rzecz osadzenia na polskim tronie francuskiego księcia, wiernego dynastii Burbonów. Ma to na celu zmniejszenie wpływu Habsburgów w Europie. Będziesz moimi oczami i uszami, gra idzie o wielkie pieniądze, władzę i wpływy

na całym kontynencie. Potraktuj zatem ten wyjazd nie tylko jako ucieczkę, ale i jako misję.

— Będziesz miała we mnie doskonałą informatorkę, pani. Będę ci wierna aż do śmierci, dobrze o tym wiesz...

— Wiem. — Księżna wstała i podeszła do sekretarzystki, przy którym powstawały jej pisma. — Napiszę listy polecające. Pojedziesz w towarzystwie jednej panny, którą się zaopiekujesz. I dwóch zakonnic. Będzie ci towarzyszył porucznik Duvoni, on też przecież musi zniknąć.

— Mam jechać z tym durniem? — Nie wytrzymałam i wyrwała mi się odrobina szczerzej bezpośredniości.

Od razu ugryzłam się w język, ale i tak wyczułam powiew chłodu od księżnej. Przypomniałam sobie, że ten głupek był synem jej zmarłej przyjaciółki i czuła się w pewien sposób za niego odpowiedzialna. Może nie matkowała mu oficjalnie, ale to ona kupiła mu patent oficerski i załatwiła przyjęcie do królewskich muszkietarów. Przynależność do tej formacji uchodziła wszak za wielki zaszczyt i mało kto mógł poszczycić się takim honorem. Zrozumiałam, że teraz to ja miałam zajmować się tępakiem, choć pewnie jemu zostanie powiedziane, że ma mnie chronić, być moim rycerzem. No cóż, może po drodze do Polski stanie mu się coś złego? Mogłam się go pozbyć na setki sposobów, ale obecnie mógł się przydać jako ochroniarz, bo chyba ci muszkieterowie nauczyli go przynajmniej posługiwać się szpadą?

— Kiedy wyruszamy i dokąd? — spytałam na głos.

— Jak najszybciej. Masz godzinę, by spakować kuferek. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy, resztę ci doślę przy okazji. Jedziecie do Hawru, tam zaokręćcie się

na pokładzie „Trois chevaliers” i popłyniecie nim do Gdańska — odparła, jakby od dawna miała wszystko zaplanowane. Wiedziałam jednak, że dopiero co opracowała plan.

Grzecznie jej podziękowałam za wszystko, co dla mnie robiła. Głos mi się nawet zaczął łamać, bo zrozumiałam, że to pożegnanie. Nie wiadomo wszak było, czy dane mi będzie kiedykolwiek wrócić do Francji i znów zobaczyć swoją dobrodziejkę. Przerwała pisanie listu polecającego, wstała i ucałowała mnie w oba policzki. Miałam wrażenie, że w jej oczach widzę wzbierające łzy, ale zaraz znikły. A może wcale ich nie było i tylko mi się wydawało?

* * *

Dla zmylenia gwardii kardynalskiej użyliśmy przebrań. Ucharakteryzowałam się na młodzieńca, niezbyt wytwornego i nieobnoszącego się z bogactwem. Założyłam zatem portki i buty jednego ze sług księżnej, do tego bury kubrak, pelerynę i za duży kapelusz, który opadał mi na oczy, ale przynajmniej ukrywał twarz. Porucznik Duvoni pozostawał sobą, choć oczywiście nie mógł już używać ukochanego munduru królewskiego muszkietera. Wyglądał zatem jak typowy najemnik, rapier do wynajęcia. Taka nieprzyciągająca uwagi para, zbój i jego młody kompan, musiała podróżować, rzecz jasna, konno. Wcześniej siedziałam w siodle może ze dwa razy w życiu i nie byłam w tym dobra. Trzeba mi zatem było szybko się doszkolić, a nic tak nie uczy jak życie, znaczy praktyka. Przez cały dzień tylko raz spadłam, a właściwie zsunęłam

się z siodła, gdy mój konik się czegoś wystraszył i gwałtownie zatrzymał.

Jechaliśmy wzdłuż Sekwany. Właściwie moglibyśmy wsiąść na jakiś kuter lub barkę, po czym odbyć tę podróż wygodnie i bez wysiłku, ale księżna stwierdziła, że bezpieczniej dla nas będzie poruszać się konno i w razie czego rzucić galopem do ucieczki. Gwardziści z pewnością mieli wyruszyć za nami w pościg i na ospale płynącej barce szybko by nas dopadli. Gnaliśmy zatem konno, podskakując i trzęsąc się w siodłach. Zanim dojechaliśmy do Mantes-la-Jolie, tyłek mnie bolał, jakby mnie po nim sprano, otarłam sobie uda, rwało mnie w krzyżu i od wstrząsów rozboleła głowa. Jan próbował wesoło mnie zagadywać, ale chciało mi się wyłącznie płakać. Z bólu i z żalu, że oto zostawiam za sobą dworskie życie, wygody, wytworne toalety, salony i pięknych kawalerów. Czekają mnie już tylko niewygody, zimno i życie z dala od cywilizacji.

Bez przeszkód dotarliśmy do Vernon, gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg w zajezdzie pełnym podróżnych kupców, wędrownych rzemieślników i jakichś szemranych typów. Zakazałam Janowi pić i bratać się z chamstwem, w ogóle wdawać z rozmowy z kimkolwiek. Dostaliśmy pokoić na poddaszu, gdzie natychmiast się zwałam, jęcząc z bólu, na pryczę i to w ubraniu, zdjęłam tylko kapelusz i buty. Owinęłam się w koc i natychmiast zasnęłam. Mój przyboczny głupek coś tam gadał, ale tylko swoim gadulstwem ukołysał mnie do snu.

Rankiem znów chciało mi się płakać, bo kiedy próbowałam wstać, okazało się, że boli mnie każdy mięsień

i nie mogę się ruszyć. Jak ci mężczyźni spędzali w siodłach całe dni? To wszak jakiś koszmar! Nie dość, że bolały mnie nawet wytrzęsione trzewia, to jeszcze cała śmierdziałam końskim potem. Przesiąkłam koniem całkowicie i pewnie już zawsze będę pachniała jak stajenny.

— Panno Giselle, domyślałam się, że cierpi pani od zbyt długiej jazdy wierzchem — zagaił Jean, który wstał rześki i wesoły. Jak to głupek, takim jak on niewiele potrzeba do szczęścia. — Służę pomocą. Wiem, które mięśnie należy wymasować, by przynieść nieco ulgi i pozwolić panie normalnie funkcjonować. Proszę się położyć na brzuchu.

To nie brzmiało głupio, może muszkietier nie był takim cymbałem, za jakiego go miałam? Obróciłam się na brzuch i pozwoliłam mu się dotykać. Była to sytuacja nieobyczajna, ale przecież nikt nie widział, poza tym znajdowaliśmy się w niezwykłym położeniu i wszelkie konwenanse uznałam za zawieszane.

Jean usiadł na moim łóżku i bez ostrzeżenia złapał moją stopę i zaczął ją ścisnąć. Dłonie miał duże, mięsiste, o silnych palcach. Uciskał mi śródstopie najpierw jednej, a potem drugiej nogi. Jęknęłam z rozkoszy, okazało się to bowiem niezwykle przyjemne. On tymczasem zajął się moimi łydkami. Każdą obejmował oburącz i uciskał mięśnie kciukami. Westchnęłam i zadrżałam cała, przeszły mnie ciarki od czubka głowy do końcówek palców. Bolało, ale jednocześnie to całe masowanie było diabelnie miłe. W zeszywniałe, obolałe mięśnie napływała gorąca krew, zagryzłam wargę, by nie sapać i nie dyszeć. On bowiem zabrał się za moje uda, a kiedy ucisnął ich

wewnętrzne strony, omal nie zaczęłam się więc z rozkoszy. Nie odważył się, niestety, złapać za pośladki, zaczął uciskać moje plecy. Ależ żałowałam, że robi to przez ubranie. Jeszcze przyjemniej byłoby poczuć dotyk jego gorących rąk na nagiej skórze. Zastanawiałam się nawet, czy go nie poprosić, by ściągnął ze mnie te ciuchy. Byłam już tak napalona, że wyobrażałam sobie dotyk nie tylko jego rąk i nie tylko na plecach.

Zagryzłam wargę do bólu, by pohamować te zapędy. Jean był dużym, umięśnionym chłopcem, dotyk miał jednocześnie silny i delikatny, wspaniale byłoby sprawdzić, jak się sprawuje w łóżku w zabawie na całego. Ale dotarło do mnie, że nie pora i nie miejsce na to. Gwardziści mogli być na naszym tropie, powinniśmy wyruszać czym prędzej w dalszą drogę, a nie gzić się na poddaszu. Pozwoliłam jeszcze, by wymasował mój kark i ramiona, po czym podziękowałam mu uprzejmie i nagrodziłam jednym z przeciwczonych uśmiechów. Może niezbyt szczerym, ale w moim mniemaniu okazującym sympatię. Miałam jeszcze w zanadrzu uśmiechy zalotne, kpiące, wesołe, tajemnicze i obiecujące niezwykle doznania. Uśmiechy i miny były obowiązkowym wyposażeniem damy i służyły do dworskiej szermierki, dyplomacji i flirtów. Zgodnie z oczekiwaniem Janowi uśmiech wystarczył, zabrał łapy i wycofał się grzecznie, nie próbował posunąć się dalej, choć pewnie się domyślał, że dzielił go krok od zdobycia mnie całej. Spojrzałam tylko, z ciekawości, na jego krocze i z zadowoleniem zauważyłam, że portki miał tam napięte. Znaczyło to, że nie byłam mu obojętna, nawet śmierdząca koniem. Miałam tylko nadzieję, że nie

z powodu tego zapachu się podniecił. Niektórzy mieli wszak dziwne upodobania.

Nie stołowaliśmy się w sali biesiadnej, kupiliśmy u karczmarza rogaliki i ser, po czym zjedliśmy w siodłach, jadąc stępa na północ. Cały dzień kiwania się w siodle tym razem zniosłam nad podziw dobrze. Ewidentnie ręce Jana działy cuda, czułam się całkiem znośnie. Uda i plecy znów mnie co prawda rozboleły, ale ciało chyba zaczynało się przystosowywać do jazdy wierzchem. Jeszcze kilka dni takiej podróży i mój tyłek stałby się twardy jak kamień. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy taka jazda rzeczywiście nie ma pozytywnego wpływu na ciało poprzez kształtowanie mięśni. Zgrabny tyłeczek zawsze był wszak w cenie, dobrze byłoby go mieć. Może w Polsce będę miała więcej okazji na jazdę konną?

Do Hawru jechaliśmy już po zmroku i od razu pogналиśmy do portu, który zresztą był głównym obiektem w tym mieście. Właściwie powstało właśnie jako królewski port i miało zapewnić Francji ważny punkt oporu przed morską dominacją Anglii. Ujrzelśmy zatem oświetlone latarniami wielkie królewskie liniowce z trzema rzędami armat i rufami wysokimi jak wielkie kamienice, do tego zdobione w piękne płaskorzeźby, herby i galiony. Aż poczułam dumę, patrząc na tę naszą morską potęgę. Przestałam nawet zerkać przez ramię, czy przypadkiem nie jadą za nami gwardziści kardynała. Pozbyliśmy się koni, odsprzedając je handlarzowi za boleśnie niską kwotę. Zabrałam tylko swój podróżny kuferek, a Jean worek z rzeczami.